

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



LEWIS WALLACE

BEN-HUR

**Opowiadanie historyczne
z czasów
Jezusa Chrystusa**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

ROZDZIAŁ I

Dżabel-Zubleh, jest to pasmo gór około pięćdziesięciu mil długie, z którego, patrząc na wschód, widzi się Arabię. Głębokie parowy, napelniające się w deszczowej porze strumieniami pędzącymi do Jordanu lub do Morza Martwego, ogólnego zbiornika wód w tych stronach, utrudniają przebycie tych gór. Jednym z tych parowów, podążał w kierunku wschodnio-północnym podróżny ku płaskim jak stół równinom.

Człowiek ten mógł mieć lat czterdzieści pięć. Broda bujna, niegdyś czarna, dziś przyprószone siwizną, spadała mu na piersi; twarz ciemną, koloru brunatnego, osłaniał zawój zwany kefia, tak szczelnie, że spod niego zaledwie barwę oblicza i duże czarne oczy, często w niebo się wznoszące, można było dostrzec. Fałdziste ubranie, pospolicie na wschodzie używane, nie pozwalało widzieć całej postaci, tym bardziej, że siedział na roslym wielbłądzie, a nad jeźdźcem i zwierzęciem wznosił się niewielki namiot w rodzaju parasola, przytwierdzony do siodła.

Kiedy wielbłąd wychylił się z parowu, słońce już weszło na niebie i oświeciło pustynię. Ulegając wrodzonemu instynktowi, wyciągnął szyję i przyspieszył kroku, zmierzając ku wschodniemu horyzontowi.

Nikt nie puszcza się w pustynię dla przyjemności: ci, których zadanie życia lub interes tu pędzi, wiedzą, że ścieżki te choć prowadzą od źródła do źródła i od pastwiska do pastwiska zasłane są kośćmi trupów. Cóż więc dziwnego, że nawet serce najodważniejszego szejka, gdy wjedzie w królestwo piasków, szybszym uderza tętnem. I nasz podróżny nie wygląda na człowieka jadącego bez celu; nikt go nie ściga, bo ani razu nie spojrzał poza siebie; nie zdradza również obawy ni grozy, nie czuje, zda się, nawet samotności. Nagle, o godzinie dziesiątej, zwierzę zatrzymało się w biegu, wydając ryk pełen żalu i skargi. Jeździec zbudził się jakby ze snu, rozsunał firanki buraahu, spojrzał na słońce, potem na okolicę, a zadowolony, zawołał: „nareszcie, nareszcie!” Po czym złożył ręce na piersiach, wznosił głowę i modlił się w milczeniu. Spełniwszy tę pobożną powinność, wyrzekł miłe dla wielbłąda słowa: ikh! ikh! które jest rozkazem, aby ukląkł. Z wolna, mrucząc z zadowolenia, usłuchał wierny towarzysz, a jeździec zsunął nogę po gładkiej szyi wielbłąda i stanął na piasku. Człowiek ten był proporcjonalnej budowy, niezbyt wysoki, ale silny; rozluźniwszy sznurek przytwierdzający kefię na głowie, odsłonił twarz, barwy, jak już się rzekło, prawie murzyńskiej. Czoło miał szerokie, nos orli, zewnętrzne kąty oczu podniesione; włosy bujne, o metalicznym odbłyску, spadły w licznych splotach na ramiona. Poznać w nim było Egipcjanina. Podróżny nasz miał na sobie kamis, czyli białą, bawełnianą koszulę z wąskimi rękawami, ozdobioną haftem koło szyi i na piersiach, a sięgającą kostek. Strój ten uzupełniał płaszcz brązowy, zwany abba. Na nogach miał sandały przytrzymane rzemykami z miękkiej skóry. Lecz rzecz niezwykle dziwna, że podróżny, chociaż sam był tylko w pustyni, nie miał przy sobie żadnej broni, ani nawet laski, którą pogania się wielbłąda. Świadczyło to o jego odwadze lub też o jego ufności w jakąś nadzwyczajną opiekę...

Stanąwszy na ziemię, zapragnął rozruszać długą podróżą ścierpnięte członki i przeszedł się kilka razy w tę i ową stronę, nie oddalając się od miejsca, w którym spoczął jego wierny to-

warzysz podróży. Od czasu do czasu zatrzymywał się, a przecierając oczy rękoma, badał pustynię aż do ostatnich jej krańców; po każdym takim przeglądzie na jego twarzy pojawiał się wyraz zawodu, lekki, ale tłumaczący, że kogoś oczekiwał. Jakiż cel, jaki powód mógł zawieść tego człowieka w tak odległe ustronie?

Chociaż nie mógł ukryć wrażenia doznanego z zawodu, nie stracił jednak nadziei, że oczekiwany gość przybędzie; wyjął bowiem z pudła przypiętego do siodła gąbkę i małe naczynie z wodą do obmycia pyska, oczu i nozdrzy wielbłądowi. Po tym zaopatrzeniu wiernego towarzysza, wyjął z tego samego schowka płótno w białe i czerwone pasy, wiązkę cienkich drążków i grubą laskę. Gdy tą laską kilka razy poruszył, okazało się, że była ona dobrze obmyślonym sprzętem, gdyż składa się z kilku mniejszych części, dających się rozsunąć na długi kij, większy od człowieka. Tę wysoką podporę wbił podróżny w ziemię, a naokoło niej umieścił mniejsze drążki, na których rozciągnął płótno, i znalazł się jak w domu, może mniejszym niż dom emira lub szejka, ale bardzo wygodnym.

Zarządziwszy tak wszystkim, oddalił się na małą odległość i raz jeszcze bacznie popatrzył po okolicy, lecz nie spostrzegł nic prócz szakala kłusującego po równinie i orła białego szubującego ku zatoce Akaba.

Podróżny uległ widocznie uczuciu samotności, bo zwrócił się do wielbłąda i rzekł niskim głosem w języku nieznanym pustyni: „Dom masz daleko, lecz Bóg jest z nami. Ufajmy i czekajmy”.

Jakby uspokojony własnymi słowy, wyjął nieco fasoli z kieszeni u siodła, a włożywszy je do torby, zawiesił u pyska wielbłądowi, który chciwie jadł ulubiony sobie przysmak. Wędrownik przypatrywał się chwilę z zadowoleniem zwierzęciu i znów puścił oko na zwiady w przestrzeń piaszczystą, bezgraniczną, rozpaloną padającymi pionowo promieniami słońca.

– Przyjdą – rzekł wreszcie sam do siebie. – Ten, który mnie tu przywiódł i ich przywiezie. Trzeba, abym był gotowy na ich przyjęcie. – To mówiąc, wyjął przywiezione z sobą zapasy do wieczery. Składały się one z soku palmowego i wina w bukłaku, baraniny suszonej i wędzonej, chleba i sera. Nie brakło też owoców, jak granatowych jabłek syryjskich zwanych shami i wybornych daktyli. To wszystko zaniósł do namiotu, złożył jedzenie na kobiercu i nakrył je trzema kawałkami jedwabnego płótna, którymi lepsze towarzystwo na wschodzie, stosownie do przyjętego zwyczaju, przykrywa sobie kolana podczas jedzenia. Z liczby nakryć domyślić się było można liczby biesiadników.

Ukończywszy przygotowania, wyjrzał nasz podróżny znowu, zbadał horyzont i – o radości! ujrzał na wschodzie ciemny jakiś punkt. Widok tego punktu czy cienia wywarł na nim dziwne wrażenie, stanął jakby skamieniały z szeroko rozwartymi oczyma, dreszcz wstrząsnął jego członkami. Tymczasem spostrzeżony punkt rósł ciągle, niebawem miał wielkość ludzkiej ręki, dalej przybrał dokładniejsze kształty, a w końcu ukazał się całkiem wyraźnie drugi taki sam wielbłąd, jak poprzedni, duży i biały, z hondahelem, czyli podróżną lektyką, jakich używają w Hindostanie.

Egipcjanin złożył ręce na piersiach i spojrzał ku niebu.

– Wielki jest Bóg! – zawołał, a oczy zaszyły mu łzami.

Przybyły zbliżył się i stanął. I on także w tej chwili zdawał budzić się ze snu. Obejmował wzrokiem wielbłąda, namiot i stojącego u wejścia człowieka, zatopionego w modlitwie. Widok ten wzruszył go widocznie – skrzyżował również na piersi ręce, pochylił głowę i modlił się w milczeniu. Po chwili zsiadł z wielbłąda, stanął na piasku i zbliżył się ku Egipcjaninowi, który również szedł mu naprzeciw. Przez chwilę patrzyli na siebie i uściśnęli się.

– Pokój tobie, sługo prawdziwego Boga – rzekł nowo przybyły.

– I tobie pokój, bracie w prawdziwej wierze! pokój tobie i powitanie – odpowiedział Egipcjanin gorąco. – Nowo przybyły był to człowiek wysoki i chudy, twarz jego szczupłą, cery miedzianej, oczy zapadłe, błyszczące; białe włosy i broda spływały mu na piersi. Broni, również jak pierwszy, nie miał żadnej, a ubranie nosił, jakiego używają mieszkańcy Hindostanu:

Na głowie, ponad fezem, zwinięty w szerokie zwoje szal tworzył turban, suknie miał stylem podobne do szat Egipcjanina, tylko abba była krótsza, bo spod niej wychodziły szerokie spodnie u kostki ściągnięte. Na nogach, zamiast sandałów, nosił pantofle z czerwonej skóry, w palcach spiczasto zakończone. Prócz pantofli reszta jego ubrania była z białego płótna. Postawa cała pełna wspaniałości i powagi, gdy podniósł twarz z piersi Egipcjanina, w oczach jego błyszczały łzy.

– Bóg jest wielki! – zawołał po przywitaniu.

– Błogosławieni ci, którzy Mu służą – dodał Egipcjanin. – Patrz, oto i trzeci przybywa.

Obaj zwrócili wzrok ku północy, skąd już całkiem wyraźnie widać było wielbłąda równie białego jak poprzedni i płynącego niby okręt. – Stali w milczeniu, aż nowy podróżnik przybył, zsiadł i zbliżył się do nich.

– Pokój tobie, mój bracie – rzekł ściskając Hindusa.

Mieszkaniec Hindostanu odrzekł: Niechaj się spełnia wola Pana.

Ostatni z podróżnych nie był wcale podobny do swych towarzyszy: budowa jego wąlejsza, cera biała i rozwiane włosy tworzyły jakby aureolę wokół jego pięknej, wolnej od nakrycia głowy. W gorącym spojrzeniu ciemnoniebieskich oczu błyszczały rozum i odwaga. Również jak tamci bez broni, spod zwojów fenickiego purpurowego płaszcza, z wielkim udrapowanego wdziękiem, wysuwała się tunika z krótkimi rękami, wycięta u szyi, zebrana sznurem w pasie, a sięgająca zaledwie kolan. Ręce, nogi szyję miał obnażone, a chociaż zdawał się liczyć ponad pięćdziesiąt lat, nic prócz powagi w obcowaniu nie znamionowało tego wieku, bo dusza i ciało urągały wpływowi czasu. Nie potrzeba mówić, z którego przybywał kraju, bo każdy odgadł w nim na pewno Greka.

Gdy ręce nowo przybyłego opadły z ramion Egipcjanina, ten rzekł głosem wzruszonym: Pierwszy stanąłem na miejscu przeznaczonym, czuję się więc wybranym na sługę mych braci: oto i namiot rozpięty, chleb do łamania gotowy, pozwólcie, niech czynię mą powinność.

To mówiąc, zaprowadził obu do namiotu, a zdjawszy sandały z ich nóg, umył je, po czym zwilżył ręce swych gości i otarł je ręcznikiem.

Gdy tak dopełnił pierwszych praw gościnności, obmył sam siebie i rzekł:

– Pomnijmy, bracia, że pełnimy służbę, do której potrzeba sił; wzmocnijmy więc ciało pożywieniem, a duszę opowiadaniem skąd i po co przybywamy.

To powiedziawszy, zaprowadził biesiadników na ucztę i posadził tak, że wzajemnie do siebie byli zwrócenii. Równocześnie pochyliły się ich głowy, ręce skrzyżowały na piersiach i głośno odmówili prostą modlitwę:

„Ojciec wszystkich – Boże! – co tylko mamy, od Ciebie pochodzi; przyjm nasze dzięki i pobłogosław nam, pozwalając i dalej sprawować wolę Twoją”.

Wymówiwszy ostatnie słowa, spojrzeli ze zdumieniem po sobie, bo oto każdy mówił językiem nigdy pierwej nie słyszonym, a mimo to rozumiał co powiedział. Dusze ich zadrgały wielkim wzruszeniem, a po cudzie tym poznali, iż Bóg jest pośród nich.

Stosownie do ówczesnej rachuby, powyższe spotkanie miało miejsce w roku 747 po założeniu Rzymu, w miesiącu grudniu, a więc w zimie i to wyjątkowo ostrej jak na wybrzeże Morza Śródziemnego. Nasi podróżni gawędzili, jedząc i pijąc, a Egipcjanin, jako gospodarz, przemówił:

– Dla podróżnego nie ma nic słodsze na obczyźnie, jak usłyszeć własne imię z ust przyjaciela. Przed nami wiele dni wspólnego życia, czas nam się poznać, a jeśli taka wola wasza, niech zacznie ten, który ostatni do nas dołączył.

Z wolna, ostrożnie jakby licząc się z wyrazami, uczynił Grek zadość wezwaniu, i rzekł:

– To co mam powiedzieć, tak jest nadzwyczajne, iż nie wiem od czego zacząć i jak się wyrazić. Nie rozumiem często sam siebie, silnie jednak wierzę, iż to co czynię, jest wolą Pana, a służba dla Niego ciągłą radością. Kiedy rozważam otrzymane posłannictwo czuję niewysłowione szczęście i szczyć się nim.

Wzruszenie nie pozwalało mu mówić dalej, a towarzysze odczuwając jego słowa, spuścili oczy.

– Daleko stąd na zachód. – mówił Grek – dalej, leży kraina, której pamięć nigdy nie zagięnie, bo jej zawdzięcza ludzkość swe najczystsze zachwyty. Nie myślę ci mówić o sztukach pięknych, filozofii, wymowie, poezji i wojnie. O moi bracia, sława mej ojczyzny będzie po wsze czasy świecić mądrością zawartą w księgach, a głoszącą całemu światu wolę Tego, którego szukać idziemy. Kraina, o której mówię, to Grecja, a ja jestem Kasprem, synem Kleante-sa, Ateńczyka. Naród mój, ciągnął dalej, oddany był nauce i ja nie odrodziłem się od mych przodków. Dwaj nasi najślawniejsi filozofowie uczą o duszy ludzkiej i jej nieśmiertelności, wierzą w istnienie Boga i Jego najdoskonalszą sprawiedliwość. Liczne szkoły filozoficzne wiodły spór o te dwie zasady, a ja brałem je za przedmiot mych studiów, jako jedyne godne zastanowienia i badania. Przeczynałem, że istnieje związek między Bogiem a duszą, ale rychło spostrzegłem, że umysł ludzki może ten związek tylko do pewnego stopnia wyjaśnić, dalej wiedza jego napotyka na nieprzezwyciężone zapory, których bez pomocy nadzwyczajnej nie usunie. Tej pomocy wzywałem i szukałem, ale nikt nie odpowiedział na me wołanie; opuściłem więc szkoły i miasto.

Na te słowa wynędniała twarz Hindusa rozjaśnił poważny uśmiech zadowolenia.

– W północnej stronie mej ojczyzny, w Tessalii – mówił Grek – jest góra, sławna jako przybytek bogów; tam rządzi Zeus, którego Grecy czczą ponad wszystkie bogi; góra ta zowie się Olimpem. Tam udałem się, a znalazłszy jaskinię na zboczu góry, zamieszkałem w niej. Oddając się rozmyślaniom, błagałem każdym westchnieniem o objawienie. Ufność moja była wielka, wierząc w Boga niewidzialnego, ale wszechmocnego, wierzyłem w możliwość Jego odpowiedzi, gdy o nią całą duszą błagać będę.

– Ach, i otrzymałeś odpowiedź, nieprawdaż? – zawołał Hindus, wznosząc w górę ręce.

– Słuchajcie mnie, bracia – mówił Grek dalej, z trudnością opanowując wzruszenie. – Drzwi mojej pustelni wychodziły na morze, na zatokę Cermaik. Pewnego dnia ujrzałem człowieka spadającego z pomostu okrętu, który właśnie podniósł kotwicę i rozwinąwszy żagle, odbijał od lądu; mimo wypadku dopłynął ów człowiek do brzegu i znalazł u mnie schronienie i opiekę. Był to Izraelczyk, uczony w historii i prawach swego narodu; on mnie po-uczył, że Bóg, którego wzywałem i czciłem, istnieje rzeczywiście i że przed wiekami był prawodawcą i królem Izraela. Cóż to było, jeśli nie objawienie, o którym marzyłem? Wiara moja nie była próżna: Bóg usłyszał wołanie moje i wysłuchał je.

– Jak wysłuchuje tych, którzy Go wzywają z wiarą – rzekł Hindus.

– Czemuż, niestety – dodał Egipcjanin – tak mało jest takich, którzy rozumieją objawienie!

– To jeszcze nie wszystko – ciągnął Grek. – Człowiek ten, tak cudownie mi zesłany, po-wiedział mi jeszcze, że jak dotąd objawienie było tylko dla ludu Izraela i nadal pozostanie jego własnością; prorocy, którzy w pierwszych wiekach po objawieniu mówili z Panem, zo-stawili obietnicę, że On przyjdzie znowu, a to drugie Jego przyjście oczekiwane jest obecnie, każdej chwili, w Jerozolimie. Ten, który ma przyjść, będzie królem izraelskim.

– Jak to, nic nie uczyni Pan dla reszty świata? – zapytałem.

– Nie, odparł dumnie, my jesteśmy Jego wybranym ludem. Odpowiedź ta nie zniweczyła wcale moich nadziei; nie mogłem przypuścić, aby Bóg miał ograniczyć Swą miłość i miło-sierdzie na jeden tylko naród, jakby na jedną rodzinę. Postanowiłem koniecznie zbadać tę tajemnicę i wreszcie udało mi się przełamać pychę Izraelity, który mi wyznał, że jego ojcowie byli tylko wybranymi sługami, przeznaczonymi do przechowania wiary w prawdziwego Bo-ga, aby kiedyś świat poznał żywą prawdę i był zbawiony. Gdy Judejczyk mnie opuścił, zosta-łem sam; dusza moja przejęła się korną modlitwą i błaganiem, aby mi było danym oglądać Króla, gdy przyjdzie i oddać mu cześć. Raz w nocy, siedząc u drzwi mej jaskini, rozmyślałem i usiło-wałem zbliżyć się do tajemnic mego istnienia, a przyświecała mi wiara w jednego Boga. Nagle, na ciemnej morza powierzchni ujrzałem gwiazdę; z wolna zwiększała się i wznosiła, zbliżając się

ku mnie; nareszcie stanęła nad moją głową, tuż u moich drzwi tak, że jej światło padało mi wprost na oblicze. Padłem na ziemię i usnąłem, a we śnie słyszałem głos mówiący:

– Kasprze! Wiara twoja zwyciężyła! Bądź błogosławiony! Z dwoma innymi, którzy przyjdą z dalekich krańców ziemi, zobaczycie Tego, który jest obiecany, abyście o Nim świadczili, gdy będzie potrzeba cudów na potwierdzenie Jego prawdziwości. Wstań, idź, a ufając Duchowi, który cię prowadzić będzie, spotkasz ich.

Wstałem rano, a Duch towarzyszył mi wśród blasku światła jaśniejszego nad słońce. Wziąłem moje pustelnicze zapasy, ubrałem się jak dawniej i wyjąłem ukryty skarb, który z sobą niegdyś przyniosłem. Właśnie przepływał okręt, zawołałem nań, zabrał mnie i zawiózł do Antiochii, gdzie kupiłem wielbłąda i przybory do podróży. Przez ogrody i sady, zdobiące brzegi Orontesu, przybyłem do Emessy, Damaszku, Bostry i Filadelfii, a stamtąd tu. Oto, bracia, moja historia, niechże teraz posłucham waszej.

Egipcjanin i Hindus spojrzeli po sobie; pierwszy wznosił ręce, drugi skłonił głowę i rzekł:

– Brat nasz dobrze mówił, oby moje słowa równą były napelnione mądrością.

Zamilkł, a po chwili namysłu rzekł:

– Znać mnie będziecie, bracia, pod imieniem Melchiora. Mówię do was językiem, jeśli nie najstarszym na świecie, to najdawniej używanym w piśmie – myślę o indyjskim sanskrycie. Urodziłem się w Hindostanie braminem. Religia ta pozostawiła w duszy mojej dziwną próżnię. Szukałem przeto spokoju i ukojenia w samotności; szedłem wzdłuż Gangesu aż do źródła wód tegoż wśród gór Himalajskich. Tu więc, gdzie pierwotna jeszcze przyroda nęci mędrcą samotnością, a wygnańca obietnicą bezpieczeństwa, postanowiłem przebywać tylko z Bogiem i wśród modlitwy i postu oczekiwać śmierci.

Tu zabrakło Melchiorowi głosu, a chude ręce splotły się jak do modlitwy. Po chwili mówił dalej.

– Pewnej nocy, chodząc w samotności, zawołałem z utęsknieniem: Kiedyż przyjdzie Bóg i wybawi mnie? Czyż jest odkupienie? Nagle światło oświeciło ciemności, a zmieniając się w gwiazdę, zbliżyło się ku mnie i zatrzymało się nad moją głową. Olśniony niezwykłą jasnością, padłem na ziemię i usłyszałem głos mówiący łagodnie: Miłość twoja zwyciężyła. Bądź błogosławiony, synu Indii! Odkupienie się zbliża. Z dwoma innymi, którzy przyjdą z dalekich stron świata, ujrzycie Odkupiciela i będziecie świadczyć o Jego przyjściu. Wstań rano i idź na spotkanie towarzyszy, a całą wiarę złóż w Duchu, który ciebie i ich wieść będzie.

– Od tego czasu światło pozostało ze mną; wiedziałem, że było ono znakiem obecności Ducha. Rano ruszyłem w drogę, którą tu przyszedłem, w otworze góry znalazłem kamień wielkiej wartości; który sprzedałem w Hurdwar. Przez Lahor, Kabul i Yezd przybyłem do Ispahanu, gdzie kupiłem wielbłąda. Stamtąd wiodła mnie gwiazda do Bagdadu, gdzie, nie zastawszy żadnej karawany, postanowiłem podróżować sam bez trwogi, bo Duch był i jest ze mną! O jakże wielka jest łaska, której doznaliśmy, jakże wspaniała, o bracia, chwała nasza! Zobaczymy Odkupiciela, będziemy mówić do Niego i oddamy Mu cześć! – Skończyłem bracia!

Greki, pełen uniesienia, głośnie wypowiadał swoje zadowolenie; Egipcjanin zaś zaczął swą opowieść z charakterystyczną powagą:

– Pozdrawiam was, bracia moi. Cierpiełście wiele, dzieliłem waszą boleść, cieszę się wspólnie zwycięstwem. Posłuchajcie teraz mojej historii.

Napiwszy się wody z obok stojącego bukłaka, tak zaczął mówić:

– Urodziłem się w Aleksandrii, z rodu książąt i kapłanów, wychowanie odebrałem stosowne do mego rodu. Bardzo wczesnie uczułem niezadowolenie z nauki religii, tyczącej duszy po śmierci. Wierzyłem, że dusza ludzka do wyższych celów jest przeznaczona i tonąc w rozmyślaniach, ujrzałem jasno, że śmierć jest tylko punktem rozstania, po którym żli idą na potępienie, wierni zaś wierze i sprawiedliwości wznoszą się do wyższego życia, pełnego radości wiekuistej: życia z Bogiem i w Bogu. Opuściłem świat, poszedłem tam, gdzie nie było ludzi,

ale był Bóg. Udałem się w głąb Afryki. Na wysokiej górze, u której stóp wije się szeroka rzeka zamieszkałem. Dłużej niż rok góra ta była mi domem, owoc palm żywił ciało, modlitwa duszę. Pewnej nocy przechadzałem się wśród palm w pobliżu jeziora, wołając w myśli: ludzkość ginie, kiedyż przyjdiesz, o Boże? miałbym nie widzieć odkupienia? Zwierciadło wody świeciło gwiazdami, jedna z nich zdawała się poruszać i zniżać nad powierzchnię wody, od której nabrała nowego blasku, olśniewającego wzrok, i z wolna posunęła się ku mnie; zatrzymała się wreszcie nad moją głową tak blisko, że zdawało mi się, iż ją ręką dosięgnę. Padłem na ziemię i ukryłem twarz w dłoniach, a głos nieziemski dał się słyszeć: Dobre twoje uczynki zwyciężyły. Z dwoma innymi z dalekiego świata zobaczycie Zbawiciela i świadczyć o Nim będziecie. Wstań i idź na ich spotkanie, a gdy wszyscy przybędziecie do świętego miasta Jerozolimie, pytajcie ludzi, gdzie jest Ten, który się narodził król żydowski? Albowiem widzieliśmy Jego gwiazdę na Wschodzie, idziemy, aby Mu oddać cześć. A złoż ufność w Duchu, który cię prowadzić będzie.

– Na potwierdzenie tych słów światło rozproszyło ciemności i zostało ze mną, rządziło mną i prowadziło. Gwiazda wiodła mnie wzdłuż rzeki do Memfis, gdzie zaopatrywałem się we wszystko co potrzebne na pustyni. Kupiłem wielbłąda i przybyłem bez odpoczynku przez Suez i Kufilch, przez kraje Moabu i Ammonu aż do tego miejsca. Bóg z nami, bracia!

Ulegając wewnętrznej sile, wszyscy trzej wstali i podali sobie ręce.

– Czyż może być wyraźniejsze i wznioślejsze powołanie? – mówił Baltazar. – Gdy znajdziemy Pana, bracia, wraz z nami wszystkie pokolenia cześć mu oddadzą!

Po tych słowach zapanowało milczenie przerywane westchnieniami i uświęcone łzami. Była to radość nieopisana, radość dusz u brzegów źródła życia, dusz spoczywających w Odkupicielu i upojonych obecnością Boga!

W końcu ręce ich opadły, wszyscy wyszli z namiotu, pustynia była spokojna jak niebo, słońce zachodziło, wielbłądy spały.

Za chwilę zwinięto namiot, resztki zapasów schowano do pudła, po czym podróżni wsiedli na wielbłądy, a Egipcjanin przewodniczył im. Jechali z wolna wśród chłodnej nocy; wielbłądy szły równym tempem. Podróżni jechali pogrążeni w głębokiej zadumie.

Księżyc wznosił się powoli, a trzy wysokie białe postacie cicho przesunęły się w jego świetle. Nagle w powietrzu nad nimi, nie wyżej niż wierzchołek najbliższego pagórka, zajaśniał płomień: serca podróżnych zabiły przyspieszonym tętnem, dreszcz przeniknął ich i wszyscy jakby jednym zawołali głosem:

„Gwiazda! Gwiazda! Bóg z nami!”

ROZDZIAŁ II

W otworze zachodniego muru Jerozolimskiego tkwiły dębowe drzwi zwane bramą Betlejemską lub Jopejską. Plac, znajdujący się przed tą bramą, jest jedną z najznacniejszych części miasta. Za dni Salomona był tu wielki handel, brali w nim udział kupcy z Egiptu i bogaci handlarze z Tyru i Sydonu. Od tego czasu minęło trzy tysiące lat, ale i dziś jeszcze odbywa się targi na tym miejscu.

Była trzecia godzina dnia (Żydzi liczyli godziny począwszy od wschodu słońca; pierwszą godziną była pierwsza po wschodzie słońca) i wiele ludzi już się rozeszło; jednakże tłok niewiele się zmniejszył. Między nowo przybyłymi szczególną uwagę budziła grupa składająca się z mężczyzn, kobiety i osła.

Mężczyzna stał przy osle, trzymając rzemień, na którym go prowadził; oparł się na kiju, który mu służył do popędzania osła i podpierania się. Ubiór jego taki jak wszystkich innych Żydów, tylko wydaje się być nowym. Sądząc z rysów twarzy, liczył około pięćdziesięciu lat, rozgląda się niepewnie i ciekawie, co dowodzi, że jest tu obcy. Osioł zajada wiązkę zielonej trawy, jakiej pełno na targu, i zadowolony nie zważa na to, co się dokoła niego dzieje, ani też na kobietę siedzącą na jego grzbiecie w miękko wysłanym siodle. Postać niewiasty okrywa z wierzchu lekka wełniana suknia, a biała zasłona osłania głowę i szyję. Od czasu do czasu uchylała nieco zasłony, aby spojrzeć dokoła.

Wreszcie zaczął ktoś nieznanego męża:

– Czy nie jesteś Józefem z Nazaretu?

Mówiący stał tuż obok zapytanego.

– Tak mnie nazywają – odparł Józef, zwracając się ku pytającemu z powagą – A ty... ach! pokój tobie! wszakżeś mój przyjaciel rabbi Samuel.

Wzajemnie pozdrawiam cię – rzekł rabbi, a patrząc na kobietę, dodał po chwili: pokój tobie, twemu domowi i wszystkim przyjaciołom twoim.

Przy ostatnich słowach położył ręce na piersi, pochylił głowę ku kobiecie, która odsunawszy zasłony, ukazała oblicze jeszcze prawie dziecięce. Znajomi podali sobie ręce, jakby je mieli do ust podnieść, w ostatniej chwili jednak cofnęli uścisk, każdy pocałował swoją rękę, kładąc potem dłoń na czole.

– Na waszych szatach tak mało pyłu – rzekł rabbi – zapewne noc przepędziliście tu w mieście ojców naszych.

– Nie – odparł Józef – wczoraj zdążyliśmy przed nocą tylko do Betanii, tam nocowaliśmy, a o brzasku puściliśmy się dalej.

– A zatem macie jeszcze podróż przed sobą – czy może do Joppy?

– Nie tak daleko, tylko do Betlejem.

Zachowanie się rabiego, dotąd szczere i przyjacielskie, zmieniło się teraz, oblicze nabrało groźnego, posępnego wyrazu, a z gardła ozwał się chrapliwy głos.

– Tak, tak – widzę – urodziłeś się w Betlejem i wiesz tam córkę, aby być wpisany w księgi stosownie do rozkazu cesarza. Dzieci Jakuba są w niewoli, jak niegdyś w Egipcie, ale nie masz ani Mojżesza, ani Jozuego. Gdzież nasza potęga!

Józef odpowiedział, nie zmieniając ani głosu, ani postawy:

– Niewiasta ta, nie jest moją córką.

Rabbi nie zważając na to tłumaczenie, mówił dalej: – Cóż robią zeloci w Galilei?

– Jestem cieślą, a Nazaret mieściną – odparł Józef rozważnie – ulica przy której stoi ławka moja, nie prowadzi do żadnego większego miasta. Obrabianie drzewa i piłowanie desek zabiera mi tyle czasu, że nie mogę brać udziału w sporach stronnictw.

– Przecież jesteś Żydem – rzekł rabbi poważnie – jesteś Żydem, i to z pokolenia Dawida; nie sądzę, abyś chętnie płacił inną daninę, jak tę, którą dawny zwyczaj nakazał składać Jehowie.

Józef milczał, a jego przyjaciel mówił dalej: Nie żalę się bynajmniej na podwyższenie podatku... denar, to nic. Ale czymże jest ten podatek, jeśli nie obrażą naszej narodowości, jeśli nie uległością wobec tyrana. Powiedz. Powiedz mi, jestże to prawdą, że Juda mieni się Mesjaszem? Musisz to wiedzieć, bo żyjesz wśród jego uczniów.

– Słyszałem od jego zwolenników to samo – odpowiedział Józef.

W tej chwili uchyliła się zasłona i twarz niewiasty zabłysła przed okiem rabiego, piękność jej rozjaśniała wejrzenie pełne uroku, a rumieniec oblał czoło i twarz, po czym zasłona ukryła wszystko. Rabbi zapomniał o czym mówił i cichym głosem rzekł: Córka twoja jest skromna.

– Nie jest moją córką – powtórzył Józef.

Ciekawość rabiego rosła, co widząc nazaretańczyk, dodał spiesźnie: jest córką Joachima i Anny z Betlejem, o których pewnie słyszałeś, gdyż cieszyli się dobrą sławą.

– Tak – potwierdził rabbi z uszanowaniem – znałem ich, ród wiedli od Dawida, znałem ich dobrze.

– Nie żyją już – mówił dalej Józef – umarli w Nazarecie i zostawili dom.

Oto ich córka, która nie mogąc inaczej dojść do swej własności, musiała podług naszego prawa, zaślubić najbliższego krewnego. Jest więc moją żoną.

– Teraz rozumiem, jako urodzeni w Betlejem, udajecie się tam stosownie do rzymskiego edyktu, aby swe imiona podać do spisu ludności.

Mówiąc te słowa, załamał rabbi ręce ze zgrozą, a spojrzawszy ku niebu, wołał: – Bóg Izraela żyje! w prawicy Jego zemsta! – To rzekłszy, odwrócił się i spiesźnie odszedł.

A także Józef z małżonką, ponieważ osioł ich się posilił, ruszył drogą w stronę Betlejem. Słońce silnie przypiekało, toteż Maryja zdjęła zasłonę, ukazując głowę bez nakrycia.

Miała więcej niż piętnaście lat. Twarz owalna, cery bladawej, nos kształtny, wargi nieco rozwarte i pełne, nadawały ustom wyrazu słodczy, czułości i ufności; oczy duże niebieskie, ręce długie; śliczne, złote włosy spadały w cudnej z całością harmonii na jej ramiona. Z całej jej postaci bił blask niezwyklej czystości. Często zwracała wzrok ku niebu, a drżące jej usta wymawiały słowa modlitwy. Józef zwracał się od czasu do czasu ku niej, a widok jej napełniał go radością.

Tak przebyli wielką równinę i dotarli do wzgórza Mar Elias, a przeszedłszy przez dolinę, przybyli do Betlejem. Natłok ludu był wielki, a Józef widząc takie przepełnienie, zaczął się lękać, czy znajdzie pomieszczenie dla Maryi. Nie zatrzymując się dłużej i na nikogo nie zwracając uwagi, szedł dalej i stanął dopiero u drzwi gospody miasta przy rozstajnych drogach.

Aby dobrze zrozumieć, co się nazaretańczykowi wydarzyło w gospodzie, trzeba wiedzieć, że gospody na Wschodzie niczym nie były podobne do gospod ludów zachodnich. Nazywano je khnami z perskiego, a były to po prostu ogrodzone miejsca, ale bez domów i szałasów, często bez bramy lub jakichkolwiek drzwi.

Obierając miejsce na taką gospodę, myślano tylko o cieniu, ochronie osób, ich dobytku i wodzie. Takie były gospody, w których odpoczywał Jakub, gdy szedł po żonę do Padan-Aram, a podobne do nich można dziś jeszcze widzieć na oazach pustyni. Niektóre z nich, szczególnie przy gościńcach wiodących do wielkich miast, jak między Jerozolimą a Aleksandrią, były urządzone po książęcemu, były to zwykłe fundacje królewskie. Tego rodzaju khany były wtedy domem i własnością szejka, który wywierał stąd wpływ na całe swoje pokolenie.

Ostatecznym przeznaczeniem takiej budowy mniej było pomieszczenie i ugoszczenie podróżnych, a raczej były one targowicami, twierdzami, punktami zbórnymi dla kupców i rzemieślników – czasem tylko schronieniem dla spóźnionych lub zbłąkanych podróżnych; zresztą wśród tych murów, jak rok długi, załatwiano rozmaite sprawy sądowe i targowe, jak na miejskich rynkach.

W zwykłych gospodach nie było ani gospodarza, ani gospodyni, służącego lub kucharki; stróż u bramy przedstawiał cały zarząd i wszelką władzę. Nikt tu nie rozkazywał ani nikt nie podawał rachunków; wynikiem tego systemu było, że każdy przybywający przywoził żywność dla siebie i zwierząt lub nabywał je od kupców będących właśnie w gospodzie. Tak samo było z łóżkiem i posłaniem; właściciel i zarządca dawał tylko wodę, odpoczynek, opiekę i schronienie, a dawał je dobrowolnie i bezinteresownie.

W miejscowości takiej jak Betlejem, gdzie był jeden tylko szejk, nie mogło być więcej gospód; a nazaretańczyk, chociaż tu urodzony, nie mógł liczyć na gościnność w mieście, tym bardziej, że od dawna tu nie mieszkał. Co więcej, spis dla którego tu przybył, mógł trwać tygodnie, a nawet miesiące, gdyż rzymskie prowincjonalne władze odznaczały się taką powolnością, że weszła w przysłowie. Wobec tego niepodobna było zamieszkać u znajomych lub krewnych, a Józef w miarę jak zbliżał się do gospody, coraz popędzał osła, choć było pod górę, a droga była nabitą ludźmi, którzy z wielkim hałasem prowadzili bydło, konie, wielbłądy. Widząc natłok obcych, Józef niepokoił się, czy znajdzie gdziekolwiek pomieszczenie, bo rzeczywiście tłum oblegał drzwi gospody, a podwórze jej, jakkolwiek obszerne, było przepelnione. Tuż u bramy siedział na dużym pniu cedrowym stróż gospody, włócznia jego o mur oparta, a pies leżał u stóp jego.

– Pokój Jehowy z Tobą – rzekł Józef, dotarłszy w końcu do stróża.

– Czego mnie życzysz i ja tobie życzę, a co posiędziesz, niech się mnoży tobie i dzieciom twoim – odparł stróż poważnie, nie ruszając się wcale.

– Urodziłem się w Betlejem – rzekł Józef rozważnie – czyliż nie znajdę miejsca dla..

– Nie ma.

– Słyszeliście może o mnie, jestem Józef z Nazaretu. Tu jest dom ojców moich, bo jestem z pokolenia Dawidowego.

Słowa te podtrzymywały nadzieję nazaretańczyka; jeśli one go zawiodą, każde inne nie zdadzą się na nic, nawet ofiara kilku syklów. Być synem Judy, to cenna rzecz – ale nierównie cenniejszą w opinii pokoleń było, być z domu Dawidowego – nie było nic zaszczytniejszego.

Z uszanowaniem powstał stróż z miejsca swego i rzekł: rabbi, nie mogę ci powiedzieć, kiedy te drzwi po raz pierwszy się otwały na powitanie podróżnego, dawniej to pewno niż tysiąc lat, a od tego czasu nigdy nie zamknęły się przed dobrym człowiekiem, jeśli tylko było miejsce, na którym by spoczął. Gdyśmy tak postępowali z obcymi, jakże inaczej mielibyśmy czynić ze swoimi? A jednak musi być prawda, kiedy stróż tego domu mówi potomkowi Dawida: „nie ma miejsca!” Dlatego pozdrawiam cię na nowo, a jeśli chcesz się sam przekonać, chodź ze mną, a pokażę ci, że nie ma miejsca w gospodzie: ani w izbach, ani w podwórzu, ani na dachu. Mogę cię zapytać rabbi kiedy przybyłeś?

– Dopiero przed chwilą.

Stróż uśmiechał się, mówiąc:

– Obcy, który mieszka pośród was, niechaj będzie jak jeden z was i będę go miłować jak siebie. – Czy nie tak mówi prawo, rabbi?

Józef milczał.

– Jeśli takie jest prawo, czyż mogę powiedzieć takiemu, który pierwszej przybył: Idź swoją drogą, bo oto przybył inny, który zajmie miejsce twoje?

– Józef słuchał mowy jego spokojnie.

– Gdybym nawet tak powiedział, czyliż miejsce to należałoby się tobie?

Patrz, jak wielu czeka od dziewiątej.

– Któż są ci wszyscy ludzie? – zapytał Józef, wskazując na tłum – i co ich tu sprowadza?
– To, co zapewne i ciebie, rabbi, edykt cesarski. – Tu stróż rzucił pytające spojrzenie na nazaretańczyka, potem mówił dalej – ta przyczyna ściągnęła większą część tych, którzy są w gospodzie. Prócz tego przybyła wczoraj karawana jadąca z Damaszku do Arabii i Dolnego Egiptu. To, co tu widzisz najbliżej, należy do tej karawany, tak ludzie, jak i wielbłądy.

Józef jeszcze nie ustąpił.

– Podwórze takie obszerne – rzekł.

Tak, ale całe założone tłumokami, pakunkami jedwabiu, korzenia i innymi towarami,

Tu twarz podróżnego zaszła smutkiem, oczy spuścił na dół i rzekł wzruszony: Nie dbam o siebie, ale mam żonę z sobą, noc ciemna, zimniejsza na tej wysokości niż w Nazarecie, nie może ona spędzić nocy pod gołym niebem. Czy nie znalazłoby się dla niej jakie miejsce w mieście?

– Ci ludzie – odrzekł stróż, wyciągnąwszy rękę w kierunku tłumu stojącego przed bramą – byli wszyscy w mieście i mówią, że wszystko jest zajęte. Znów Józef patrzył w ziemię, mówiąc na wpół do siebie: „ona taka młoda! jeśli jej uścielę posłanie na wzgórzu, zimno ją zabije”.

Potem znów przemówił do stróża:

– Może znajdziecie jej rodziców Joachima i Annę z Betlejem, również z rodu Dawidowego?

– W młodości mojej znałem ich, byli to sprawiedliwi ludzie.

Mówiąc to, spuścił stróż oczy w zamyśleniu, nagle podniósł głowę i rzekł:

– Nie mogę zrobić miejsca dla ciebie, rabbi, ale bez dobrej rady nie puszcę cię. Ileż was osób jest?

Józef zamyślił się, a potem odpowiedział: – Tylko żona i ja.

– Dobrze, nie spędzicie nocy na dworze. Sprowadź żonę, a spiesz się, bo gdy słońce zajdzie za górę, rychło noc nadejdzie.

– Błogosławię ci błogosławieństwem podróżnego bez dachu, błogosławieństwo gościa nie ominie cię również.

Mówiąc to nazaretańczyk, spiesznie wrócił do Maryi, którą w czasie rozmowy ze stróżem gospody zostawił w pewnym oddaleniu, a wróciwszy z nią, rzekł:

– Oto ta, o której mówiłem.

Maryja miała twarz odsłoniętą.

– Niebieskie oczy i złote włosy – zauważył po cichu stróż, patrząc na Maryję – takim był młody Dawid, gdy śpiewał Saulowi.

Biorąc rzemienne lejce z rąk Józefa, rzekł do Maryi:

– Pokój Tobie, córko Dawida – a do Józefa – rabbi, pójdź za mną.

Szli wąskim przejściem, które wiodło przez podwórze gospody, a potem ku wapiennym wzgórzom, wznoszącym się za gospodą po zachodniej stronie.

– Prowadzisz nas do jaskini – zauważył Józef.

– Jaskinia, do której idziemy – rzekł, zwracając się do Maryi stróż – była schronieniem twojego dziada Dawida; sprowadzał on tu przed niebezpieczeństwem swoje bydło z pól, a żłoby ich są tu jeszcze, jak były za jego dni; później, gdy był królem, szukał w tej starej chacie zdrowia i odpoczynku. Lepiej odpocząć pod dachem, gdzie on sypiał, niż w podwórzu lub przy drodze. Ale oto i chatka przed jaskinią.

Chata była niska i ciasna, właściwie była wejściem do skały, z którą była złączona, i nie miała żadnego okna. Prócz wrót na wielkich zawiasach i ścian żółtą polepionych gliną, nie było nic więcej.

W czasie, gdy odsuwano drewniane rygle, Maryja zsiadła z osła, a stróż, otworzywszy wrota, zawołał: chodźcie!

Podróżni weszli, rozglądając się wokół, i wnet spostrzegli, że chata służyła tylko do zakrycia otworu jaskini czy groty, prawdopodobnie naturalnej, długiej około czterdziestu stóp,

dziewięć do dziesięciu wysokiej, a dwanaście do piętnastu szerokiej. Światło padało przez drzwi i dostatecznie oświetlało wnętrze, tak że można było widzieć nierówną, pełną wyboi podłogę, na której leżały resztki siana, słomy i innych domowych zapasów, zajmujących cały środek komory. Przy ścianach były niskie, kamienne żłoby dla owiec, bez żadnych zagrożeń ani klatek. Jakkolwiek śmieci i słoma pokrywały wszelkie zagłębienia podłogi, a pajęczyny wiszące tu i ówdzie, wyglądały jak kawałki brudnego płótna, miejsce to nie było gorsze od wnętrza gospody.

– Wejdźcie – rzekł przewodnik – cokolwiek tu znajdziecie, jest przeznaczone dla takich, jak wy podróżnych, bierzcie więc. Potem rzekł do Maryi:

– Możesz tu spocząć?

– Miejsce to jest święte – odpowiedziała.

– Żegnam was. Pokój z wami!

Gdy poszedł – podróżni zajęli się uporządkowaniem jaskini.

O oznaczonej godzinie przed wieczorem ustał hałas i ruch w gospodzie, a zapanowała uroczysta cisza: w tym bowiem czasie każdy Izraelita, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, zwracał się ku Jerozolimie, modląc się. Była to święta dziewiąta godzina dnia, w której składano ofiarę w świątyni na górze Moria. Gdy modlitwę skończono ruch na krótki czas rozpoczął się na nowo; jedni zasiedli do wieczerzy, drudzy zabierali się do spoczynku. Chwilę później światła pogasły, zapanowała cisza, i wszyscy poukładali się do snu.

Nagle, około północy, ktoś na dachu zawołał: Wstawajcie, bracia, wstawajcie i patrzcie, jak niebiosą goreją.

Na głos ten ludzie półsenni, siadali na posłaniu, patrzyli nic nie rozumiejąc, a spojrzawszy na niebo, budzili się od razu, lecz jeszcze niczego pojąć nie mogli. Ruch z dachu przeszedł na podwórze, wkrótce cała ludność z gospody i podwórza, patrzyła ze zdziwieniem na niebo.

I widzieli promień światła, zaczynający się na skłonie nieba poniżej najbliższej gwiazdy, skąd ukośnie padał na ziemię; u szczytu promienia świeciła modra gwiazda, rzucająca świetlaną smugę niby snop promieni. Z boków jasność spływała łagodnie, łącząc się z ciemnościami nocy. a rdzeń jej grzał jak słońce. Zjawisko zdawało się tkwić na najbliższej górze i tworzyło białe uwieńczenie szczytu wapiennych wzgórz. Było tak jasno, że ludzie widzieli wzajemnie swoje twarze i wyryte na nich zdziwienie.

Promień świecił ciągle, zdziwienie poczęło zmieniać się w bojaźń i lęk; bojaźliwsi drżeli, odważniejsi rozmawiali szeptem.

– Widziałeś kiedy coś podobnego? – pytał jeden.

– Zdaje mi się że światło wisi nad górą; nie mogę powiedzieć co to jest, nigdy czegoś podobnego nie widziałem – brzmiała odpowiedź.

– Czyżby to spadająca gwiazda? – zapytał inny niepewnym głosem.

– Skoro gwiazda spadnie, światło gaśnie.

– Już wiem – zawołał jeden – pasterze ujrzeni lwa i zaświecili ogień, aby go zatrzymać z dala od trzody.

Najbliższy sąsiad mówiącego odetchnął swobodniej i rzekł twierdząco: Tak, to co innego, gdyż dziś tyle trzód rozbiegło się w dolinie.

– Nie, nie! Gdyby wszystkie drzewa z całej judzkiej doliny na jeden stos złożono i zapalono, jeszcze by płomień nie był tak jasny.

Widząc, że nic się dalej nie dzieje groźnego, ludzie uspokoili się i nastąpiła cisza.

Bracia – przerwał ją wreszcie Żyd o sędziwym obliczu – powiadam wam, jasność ta, to drabina, którą ojciec nasz Jakub widział we śnie. Niech będzie błogosławiony Bóg ojców naszych.

ROZDZIAŁ III

O dwie mniej więcej mile na południowy wschód od Betlejem leży dolina oddzielona od miasta pasmem wzgórz. Rosną na niej drzewa karłowate: dęby, sosny i morwy. Ponieważ dolina ta zasłonięta jest od wiatrów północnych, służy czy to latem, czy też zimą za doskonałe pastwisko dla trzód, które tu pasterze zaganiają. Niedaleko od miasta znajdowało się wielkie schronisko dla owiec, dokąd mogli się pasterze wraz ze swymi trzodami schronić. Było to miejsce otoczone murem wysokości człowieka i ubezpieczone dokoła gęstymi krzakami cierniowymi, aby dziki zwierz, jak lew lub pantera, nie wpadł do owczarni i nie uczynił szkody. Poprzedniego dnia, w którym zaszły co dopiero opowiedziane wypadki, przybyła pewna liczba pasterzy ze swymi trzodami do doliny i od wczesnego już ranka brzmiały nawoływaniem, hukem siekier, beczeniem kóz i owiec, rykiem bydła i szczekaniem psów. O zachodzie słońca spędzano trzody do zagród, a gdy wieczór zapadł, pasterze zapalili wielki ogień niedaleko bramy, posilili się skromną wieczerzą i siedli, aby odpocząć i pogwarzyć, zostawiając zawsze jednego na straży.

Widok tych ludzi dziwne robił wrażenie – nie nakrywają nigdy głów, toteż twarde włosy sterczą wypalonymi przez słońce kępkami, brody kędzierzawe, splecione w warkocze zasłaniają szyję i piersi, dodając postaciom wyrazu dzikości. Za odzienie służą im skóry kozie lub baranie na zewnątrz włosem obrócone, grubym pasem w biodrach ujęte, a zostawiające ręce i nogi obnażone aż do kolan. Stroju dopełniały małe woreczki zwieszone z prawego ramienia, a zawierające zapasy żywności i kamienie do tradycyjnej procy, w którą każdy był uzbrojony. Obok każdego leżał kij pasterski, symbol powołania i broń przeciw napaści. Rozmawiali o swych trzodach i przygodach tego dnia, aż sen skleił ich powieki.

Noc była jasna, mroźna, gwiazdzista, bez żadnego wiatru. Atmosfera była czysta, jak nigdy, czuć było jakiś święty powiew, jakby przecucie, że niebo zbliży się ku ziemi, aby jej szepnąć wieść dobrą.

Przy wejściu do zagrody chodził miarowym krokiem będący na straży pasterz; czasem, usłyszawszy jakiś głos wśród śpiącej trzody lub krzyk szakala od strony gór, przystawał i nasłuchiwał. Północ się zbliżała. Poszedł więc ku ognisku, aby zbudzić zmieniającego go pasterza, gdy nagle oblała go niezwykła jasność, łagodna, niby księżycowa; ujrzał całą dolinę, pastwiska, trzodę, wszystko jak za jasnego dnia. Dreszcz wstrząsnął nim całym. Spojrzał w górę, nie widział gwiazdy, światło jakby z otwartego w niebie okna padało na ziemię; wielce przerażony począł wołać:

– Wstawajcie! Wstawajcie!

Psy zaczęły skomlić ze strachu.

Trzody zbiły się w jedną kupę.

Pasterze zerwali się na równe nogi i chwycili za broń.

– Co się dzieje? – pytali.

– Patrzcie! – zawołał stróż – Niebo w płomieniach!

Nagle jasność nabrała jeszcze siły, pasterze zakrywając oczy, padali na twarze; nagle usłyszeli głos pełen niepojętego uroku:

– Nie bójcie się.

Słuchali.

– Nie bójcie się, bo oto oznajmiam wam wielką radość, która napelni wszystkie narody ziemi.

Głos pełen słodyczy, spokoju, czysty, poruszył ich do głębi i napenił ufnością. Uklękli z czcią i ujrzeni wśród jasności postać ludzką w szacie nadzwyczajnej białości, ponad jej ramionami wznosiły się końce skrzydeł; nad głową postaci świeciła gwiazda, ręce wzniosła nad pasterzami, błogosławiąc im, a twarz jej była dziwnie spokojna i cudownie piękna.

Nieraz judejscy pasterze słyszeli i rozmawiali o aniołach, żadna też wątpliwość nie powstała w ich sercach, a w uniesieniu myśleli: „Chwała Boża jest pośród nas; Bóg posłał do nas Anioła, jak kiedyś posyłał do proroków Swoich”.

Anioł mówił dalej: Dziś narodził się wam Zbawiciel w mieście Dawidowym, którym jest Chrystus Pan.

I znów nastąpiła cisza, a słowa jego wyryły się w sercach pasterzy.

– A dla was jest znakiem to, że znajdziecie niemowlętko owinięte w pieluszki, położone w żłobie – mówił anioł.

Święty posłaniec nie mówił już więcej; został jednak jeszcze chwilę; a gdy pasterze stali oniemieli, pojawiły się niezliczone zastępy aniołów, chwalcących Boga, mówiących:

„Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli”.

Ten hymn pełen uroczystych tonów brzmiał długo i powtarzał się wiele, wiele razy.

Nareszcie anioł wzniosł w niebo oczy, z wolna poruszył skrzydłami, roztaczając je poważnie, a były one wewnątrz białe jak śnieg i mieniające niby muszle morskie. Rozpostarłszy skrzydła, uniósł się lekko, bez trudu i zniknął wraz ze światłem. Długo jeszcze po jego odejściu słychać było z górnych sfer hymn, w miarę oddalenia cichnący: „Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli”.

Gdy pasterze oprzytomnieli, patrzyli na siebie ze zdziwieniem, nareszcie jeden z nich rzekł: – To był Gabriel, posłaniec Pana do ludzi.

Wszyscy milczeli.

– Chrystus Pan się narodził; alboż nie tak mówił?

Wtedy drugi odzyskał mowę i odpowiedział: – Tak mówił.

– Wszak mówił także, że to się stało w mieście Dawidowym, a to jest Betlejem; przecież mamy znaleźć dziecko owinięte w pieluszki.

– I położone w żłobie.

Ten, który mówił pierwszy, patrzył zamyślony w ogień, nareszcie rzekł jakby nagłym opamiętaniem: – Jedno jest tylko miejsce w Betlejem. gdzie są żłoby jedno tylko, w jaskini w pobliżu za gospodą. Bracia, chodźmy zobaczymy to, co się stało. Kapłani, doktorowie i uczeni w Piśmie od dawna oczekują Chrystusa Mesjasza i oto narodził się, a Pan dał znak nam, po którym poznamy Go. Chodźmy oddać mu pokłon.

– Jakże zostawimy trzodę?

– Pan strzec jej będzie. Spieszmy się!

Wszyscy wstali i opuścili zagrodę.

Minęli góry, miasto i stanęli u bramy gospody, u której zastali stróża.

– Czegóż chcecie? – zapytał.

– Widzieliśmy dzisiaj wielkie rzeczy i usłyszeliśmy wielką nowinę.

– Widzieć... i myśmy widzieli, ale nic nie słyszeliśmy. I cóż słyszeliście?

– Chcemy iść do jaskini, aby się o wszystkim przekonać. Chodź z nami i zobacz własnymi oczami.

– Daremna droga!

– Bynajmniej, narodził się Mesjasz!

– Mesjasz? Skąd to wiecie?

– Chodź i patrz.

Stróż roześmiał się pogardliwie.

– Mesjasz? – powtórzył – po czym chcecie Go poznać.

– Urodził się dzisiaj nocy i leży w żłobie. Tak nam oznajmiono. A jest tylko jedno miejsce w Betlejem, gdzie są żłoby.

– W jaskini?

– Tak jest...chodź z nami.

Przeszli podwórze gospody, nie zatrzymywani już przez nikogo, mimo że niektórzy w gospodzie nie spali i rozmawiali o światłości, którą w nocy widzieli.

Drzwi do jaskini stały otworem. Wewnątrz błyszczał przyćmionym światłem kaganek. Przybyli weszli śmiało do wnętrza.

Pokój wam! – rzekł stróż, zwracając się do Józefa. Oto przyszli ludzie, którzy szukają Dzieciątka, które narodziło się tej nocy, owinięte jest w pieluszki i leży w żłobie.

Promień radości przebiegł po obliczu Józefa. Zwróciwszy się ku wnętrzu jaskini wskazał ręką i rzekł:

– Tam oto!

I zaprowadził ich do żłobu, w którym leżało Dzieciątko. Przy świetle kaganka ujrzeli niemowlę i oglądał je w niemym podziwieniu. Dziecię nie ruszało się i było podobne do każdego innego nowo narodzonego dziecięcia.

– To jest Chrystus – rzekł jeden z pasterzy.

– Chrystus – powtórzyli wszyscy, padając na kolana i oddając Mu cześć. Jeden z nich powtarzał z uniesieniem: – Oto Pan, pełne są niebiosy i ziemia chwały Jego.

Ci prości ludzie całowali brzeg sukni Matki i z radością odeszli. Wracając przez gospodę, opowiadali wszystkim co ich spotkało, a idąc przez miasto i całą drogę z powrotem do trzód, śpiewali hymn Aniołów: „Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!” Wieść o narodzeniu Chrystusa Pana rozeszła się po całej okolicy, a światło, które widziano, potwierdzało opowieść. W następnych dniach ciekawe tłumy nawiedzały jaskinię, wielu wierzyło, ale większość naigrawała się i szydziła.

ROZDZIAŁ IV

Drogą od Shechem, jedenastego dnia po narodzeniu Dzieciątka, po południu, zbliżali się mędrcy do Jerozolimy; przeszedłszy strumień Cedron, spotykali mnóstwo ludzi, którzy stawali i ciekawie im się przypatrywali.

Geograficzne położenie Judei było bardzo korzystne, gdyż leżała na głównej drodze wiodącej przez pustynię. Kupcy, wędrujący tym szlakiem musieli przejeżdżać przez Jerozolimę, gdzie opłacali cło od przywiezionych towarów. Ruch w Jerozolimie był zatem znaczny; podobnie jak w Rzymie schodziły się tutaj wszelkie narodowości świata. Mimo to trzej mędrcy wzbudzali powszechne zainteresowanie, a nawet podziw.

Dziecko należące do gromadki kobiet, siedzącej przy drodze naprzeciw Królewskich grobów, widząc jadących, złożyło rączki, wołając: Patrzcie, patrzcie! jakież to piękne dzwonki! jakie wielkie wielbłądy!

Dzwonki były srebrne, a wielbłądy niezwyklej wielkości białości, ruszały się z nadzwyczajną powagą; zaopatrzenie u siodeł świadczyło o długiej podróży, a zarazem bogactwie ich właścicieli. Jednak ani dzwonki, ani wielbłądy, ani ubranie, ani zachowanie się podróżnych nie było tak dziwne, jak pytanie, które jadący na czele zadawał przechodniom.

Nasi podróżni zatrzymali się naprzeciw „grobów”, wprost owej gromadki niewiast.

– Dobrze niewiasty – rzekł Baltazar, gładząc brodę i wychylając się spod namiotu – czy niedaleko już do Jerozolimy?

– Niedaleko – rzekła kobieta, za którą schroniło się dziecko. – Gdyby drzewa przy owej grocie były niższe, mógłbyś widzieć stąd wieże miasta.

Baltazar spojrzał na Greka i Hindusa, a potem zapytał:

– Gdzież mamy szukać Tego, który się narodził, Króla Żydowskiego?

Kobiety popatrzyły po sobie, nie dając odpowiedni.

– Czy nie słyszeliście o Nim?

– Nie.

– A zatem opowiadajcie wszystkim, żeśmy widzieli Jego gwiazdę na Wschodzie i przybyliśmy oddać Mu cześć.

To rzekłszy, pojechali dalej, pytając innych – również daremnie. Koło groty Jeremiasza spotkali jadące liczne towarzystwo, które tak się zdziwiło pytaniem i powierzchownością podróżnych, że zawróciło z drogi i pojechało wraz z nimi do miasta.

Trzej podróżni byli tak zajęci swoim posłannictwem, że nie zwracali uwagi na wspaniałe widoki, który się im ukazał, gdy zbliżali się ku miastu. Liczny tłum ciekawych towarzyszył podróżnym. Stanęli nareszcie przed Bramą Damasceńską.

– Pokój tobie! – rzekł Egipcjanin czystym głosem.

Straż nie dała żadnej odpowiedzi.

– Przybywamy z dalekich stron, szukając Tego, który się narodził, Króla Żydowskiego. Czy możesz nam powiedzieć, gdzie Go znaleźć możemy?

Żołnierz podniósł przyłbicę i zawołał głośno w stronę strażnicy. W tej chwili wyszedł setnik. – Rozstąpcie się – zawołał na tłum; a gdy nie dość szybko usłuchano jego rozkazu, wysunął się naprzód, robiąc miejsce dziurytem na prawo i lewo.

– Czego chcecie? – zapytał Baltazar.

– Gdzie jest Ten, który się narodził Król Żydowski? – odrzekł Baltazar.

– Herod? – spytał Rzymianin zdziwiony.

– Herodowi Cezar dał królestwo, zatem nie Herod.

– Innego króla żydowskiego nie ma.

– Na wschodzie widzieliśmy gwiazdę Tego, którego szukamy, aby Mu oddać cześć.

Zmieszanie Rzymianina wzrosło.

– Idźcie dalej – odrzekł wreszcie – idźcie dalej... nie jestem Żydem... pytajcie o to doktorów w świątyni, albo kapłana Annasza, a jeszcze lepiej, samego Heroda. Jeśli jest jaki inny król żydowski, on będzie wiedział, gdzie jest.

To mówiąc, przepuścił cudzoziemców, którzy minęli bramę i wjechali w wąską uliczkę. Baltazar zaś rzekł do towarzyszy:

– Osiągnęliśmy cel naszego przybycia, przed północą całe miasto będzie wiedziało o naszym posłannictwie. A teraz ruszajmy do gospody.

Tego samego dnia o zachodzie słońca kilka kobiet prało bieliznę na stopniach schodów wiodących do stawu Siloam. Każda u nich klęczała, mając przed sobą duże wiadro. Siedząca na najniższym stopniu dziewczyna podawała wyżej siedzącym wodę. Kiedy tak były zajęte pracą, nadeszły dwie kobiety, aby nabrać wody w wiadra, które z sobą przyniosły.

– Pokój wam – rzekła jedna z przybyłych. Pracujące odpowiedziały również tym pozdrowieniem.

– Noc nadchodzi, czas skończyć – rzekła jedna z nich.

– Jeszcześmy roboty nie skończyły – odrzekła inna.

– Ale czas iść na spoczynek i...

– posłuchać ploteczek – przerwała druga.

– Co słysząc nowego.

– Jak to, czy nic nie wiecie?

– Nie, zgola nic.

– Mówią, że się narodził Chrystus – rzekła przybyła i szybko opowiedziała co słyszała.

Ciekawy był widok rozjaśnionych twarzy praczek, które pousiadały na wiadrach odwróconych dnem do góry i słuchały, od czasu do czasu przerywając opowiadającej wykrzyknikami.

– Chrystus, co mówisz?!

– Tak mówią.

– Kto?

– Wszyscy o tym opowiadają?

– Można temu wierzyć?

– Dziś po południu przybyło trzech podróżnych przez Cedron, drogą od Shechem – opowiadała mówiąca, chcąc pokonać wszystkie wątpliwości.

– Każdy z nich jechał na wielbłądzie białym jak mleko, bez żadnej odmiany, i większym niż kiedykolwiek widziano w Jerozolimie. Zainteresowanie słuchaczek rosło, otworzyły oczy i usta z wielkiego zdziwienia. – Muszą być bogaci – mówiła dalej – bo siedzieli pod jedwabnymi namiotami, przytwierdzonymi do złocistych siodeł. Wszystko zresztą, uzdy, frędzle, lśniło się od złota, a srebrne dzwonki wydawały śliczną muzykę. Jeden z nich, jadący na przedzie, zatrzymywał się i wszędzie po drodze pytał dzieci, kobiet, przechodniów: „Gdzie jest Ten, który się narodził. Król Żydowski?” – Oczywiście nikt na to nie odpowiadał, nikt nie rozumiał czego chcieli, więc jechali dalej, a lud zdziwiony tłumaczył sobie pytania ich w najróżniejszy sposób. „Szukamy, bo widzieliśmy gwiazdę Jego na Wschodzie i przychodzimy oddać Mu cześć” – nikt tego zrozumieć nie zdołał.

– O to samo pytali Rzymianina w bramie, a on, nie mędrszy od prostego ludu po drodze, odesłał ich do Heroda.

– Gdzie są teraz?

– W gospodzie; tłumy ludu cisną się ustawicznie, aby ich widzieć.

– Kim oni są?

– Nikt tego nie wie. Mówią, że są to Persowie, mędracy, którzy rozmawiają z gwiazdami – prorocy może... tacy, jak niegdyś Eliasza lub Jeremiasz.

– O kim to oni myślą, pytając o Króla Żydowskiego?

– Oczywiście o Chrystusie, który się narodził.

Jedna z kobiet, składając robotę, śmiała się i rzekła: Dobrze, gdy Go Zobaczę, uwierzę.

Inna idąc za przykładem poprzedniej, dodała: A ja nie uwierzę, aż ujrzę że wskrzesza zmarłych.

Trzecia rzekła spokojniej: Dawno był obiecany, toteż dość mi będzie, gdy Go ujrzę uzdra-
wiającego trędowatych.

Tak rozmawiając siedziały kumoszki długo, aż je noc i zimno zmusiły do pójścia do domu.

ROZDZIAŁ V

Tegoż samego dnia późno wieczorem, kiedy zaciągano pierwszą nocną straż, odbywało się na rozkaz króla Heroda wielkie zebranie w pałacu na górze Syjon. Przybyło na nie około pięćdziesięciu osób. A byli to znaczniejsi kapłani, uczeni w piśmie, doktorowie prawa, należący do rady królewskiej. Między nimi byli przedstawiciele rozmaitych sekt: faryzeusze, saduceusze i eseneńczycy.

Komnata, w której odbyło się posiedzenie, znajdowała się w dolnej części pałacu, a była obszerna i urządzona na sposób rzymski. Posadzka marmurowa, ściany bez okien, malowane na safianowy, żółty kolor. Ława w kształcie litery U, zwrócona otworem do drzwi, zajmowała środek sali, a była pokryta szerokimi poduszkami z żółtego sukna. W zagięciu ławy, stał ogromny spiżowy trójnóg, kunsztownie złotem i srebrem wykładany; nad nim zaś zwieszał się od stropu świecznik o siedmiu ramionach, z zatkniętym w każdym ramieniu kagankiem.

Mężowie, uczestniczący w naradzie, byli to ludzie podeszli w latach; długie ich brody, duże nosy, czarne błyszczące oczy nadawały im niezwykle przejmującego grozą wyrazu. Zachowanie się ich było pełne godności i powagi.

Na pierwszym miejscu siedział przewodniczący zebrania, po prawej i lewej stronie zajęła miejsce reszta członków. Szczególną uwagę zwracał przewodniczący: postaci wysokiej, przygarbiony i skurczony pod ciężarem lat, podobny do szkieletu. Biała szata zwieszała mu się w fałdach z ramion. Ręce, półzakryte rękawami z białego w czerwone pasy jedwabiu, złożył poważnie na kolanach. Gdy mówił, podnosił prawą rękę i wskazujący palec, aby swoim słowom dodać większego znaczenia. Szacunek wzbudzającą głowę okalały białe, jak jedwab cienkie włosy. Skronie mocno miał zapadnięte, toteż czoło wystawało niby skała, oczy bez blasku i niepewne, nos spiczasty, cała zaś niższa część twarzy ginęła w brodzie rozwianej a wspaniałej jak u Arona. Był to Hillel, Babilończyk. Mając już lat sto sześć, był jeszcze rektorem Wielkiej Rady.

Na stole przed nim leżał zwój pergaminowy, hebrajskim zapisany pismem, za jego siedzeniem stał paź, bogato ubrany, czekający na rozkazy.

Zgromadzenie rozpoczęło się przemową, potem nastąpiła rozprawa nad przedłożonymi do omówienia sprawami, a gdy doszli do ostatecznego wniosku, każdy przybrał wyraz jeszcze bardziej uroczysty, poważny zaś Hillel, nie ruszając się, zawołał na pazia:

– Hist!

Chłopiec zbliżył się z uszanowaniem.

– Idź, powiedz królowi, że możemy mu dać odpowiedź. – Chłopiec wyszedł spiesźnie.

Po chwili weszli dwaj żołnierze i stanęli po obu stronach podwoi; za nimi wstąpiła do komnaty dziwna postać – starzec w purpurowej sukni z brzegiem szkarłatnym; złota taśma, tak cienka, że się gięła jak skóra, przytrzymywała szatę w pasie, sprzączki obuwia świeciły klejnotami. Wąska filigranowa korona błyszczała na jego głowie. Zamiast pieczęci u naplecznika wisiał sztylet. Szedł kulejąc i opierając się ciężko na lasce. Nie podniósł oczu, aż doszedł do zgromadzonych; wtedy jakby pierwszy raz ujrzał, spojrzał dumnie wokoło, jak ktoś zdziwiony i szokujący nieprzyjaciela, ponurym, podejrzliwym i groźnym wejrzeniem. Był to He-

rod, zwany Wielkim, godny naśladowca rzymskich cesarów, dzierzący mimo podkopanego zdrowia despotycznie berło, człowiek podejrzliwy, zazdrosny i okrutny, sumienia zbrodniami obciążonego.

Gdy Herod wszedł, powstał ogólny ruch w zgromadzeniu – starsi kłaniali się nisko, grzeczniejsi wstawali i oddawali pokłon.

Po odebraniu hołdu, Herod podsunął się do trójnoga, stanął naprzeciw Hillela, który pozdrowił go pochyleniem głowy.

– Odpowiedź – rzekł król rozkazującym tonem do Hillela, oparłszy się dumnie obiema rękoma na lasce – odpowiedź!

Oczy patriarchy świeciły łagodnością, podniósł głowę, a patrząc śmiało w oblicze królewskie, rzekł wśród ogólnego milczenia.

– Niech pokój Boga Abrahama, Izaaka i Jakuba będzie z tobą, o królu. Słowa te były jakby inwokacją, wstępem; potem innym tonem mówił dalej:

– Pytałeś nas, gdzie się ma narodzić Chrystus?

Król skinął głową twierdząco, ale złowrogięgo wzroku nie odwrócił od mędrców:

– Takie stawiałem pytanie.

– Więc dowiedz się, królu – mówię tu w swoim i całego zgromadzenia imieniu, bo wszyscy się na jedno zgadzamy: w Betlejem w Judei.

Tu Hillel spojrzał na zwój pergaminowy, leżący na trójnogu, a wskazując nań drżącym palcem, rzekł: w Betlejem w Judei, bo napisane jest przez Proroki „I ty, Betlejem, ziemio judzka, nie jesteś ostatnią między księstwami judzkimi, bo z ciebie wyjdzie Ten, który opamięna cały naród izraelski”.

Twarz Heroda zmieniła się, oczy spoczęły na pergaminie – zamyślił się. Otaczający widząc gniewne oblicze pana, zadrżeli, tak on jak i oni milczeli, nareszcie król obrócił się i wyszedł z komnaty.

– Bracia – rzekł Hillel – oto jesteśmy wolni.

Zgromadzenie powstało i rozeszło się grupami.

– Symeonie – rzekł Hillel.

Człowiek liczący mniej więcej pięćdziesiąt lat, przybliżył się ku niemu.

– Zwiń święty pergamin i weź go z poszanowaniem.

Gdy rozkaz został spełniony, rzekł Hillel:

– Teraz podaj mi ramię, pójdę do lektyki.

Opuścili salę.

Tak odszedł sławny Killel i Symeon, syn jego, przyszły jego następca w mądrości, nauce i godności.

Tego samego wieczora, ale znacznie później, nasi trzej podróżni Mędrcy udali się w gospodzie na spoczynek. Kamienie, które służyły za węzłowia, tak wysoko podpierały głowy, że przez otwór w sklepieniu mogli patrzeć w ciemności nocy, a patrząc w migocące gwiazdy, myśleli i swoim niezwykłym powołaniu. Otóż byli już w Jerozolimie, pytali przy bramie o Tego, którego szukali, oznajmili jego narodzenie, teraz pozostaje im tylko znaleźć Go, a w tym zdali się zupełnie na Ducha. Ludzie, nadśledzający głosu Boga lub wyczekujący znaku z Nieba, nie mogą spać. Wśród tego oczekiwania wszedł w ciemności sklepienia jakiś człowiek.

– Wstańcie! – rzekł – przynoszę rozkaz, któremu natychmiast trzeba zadość uczynić.

Wszyscy usiedli na posłaniach.

– Od kogo przybywasz? – spytał Egipcjanin.

– Od króla Heroda.

Każdy z podróżnych doznał nie milego wzruszenia.

– Czyż nie jesteś stróżem gospody? – zapytał znów Baltazar.

– Jestem.